

Niezwykła zbrodnia.

POWIEŚĆ KRYMINALNA

przez **Goron'a**, byłego szefa bezpieczeństwa w Paryżu.

Tłumaczyła z francuskiego Marya S.

(Ciąg dalszy).

Zkąd to nagle przejście od zuchwalstwa do pokornego ułęknięcia się? W jednej chwili Jaminot przypomniał sobie wszystko.

Jakże mógł zapomnieć, że to nazwisko Fantillon było już mu znane. Pan Fantillon był uniwersalnym przedsiębiorcą. Nietylko ubrania i kamizelki dostarczał swoim klientom.

Lat parę temu został wmieszany w nieczystą sprawę oszustwa pożyczki, danej jakiemuś cudzoziemcowi. Jaminot zadowolony był, że sobie przypomniał tę sprawę. Trzymał atuta w ręce. Zaczynał krawiec będzie musiał wyśpiewać wszystko, co wie. Jaminot poważny, zimny i pewny siebie, przystąpił do badania.

— Nie przychodzę na razie w sprawie, o której pan myślisz — zaznaczył. — Potrzebuję tylko od pana prędkiego objaśnienia. Przedewszystkiem odeślij pan chłopca sklepowego do pracowni. Mam z panem pomówić w cztery oczy.

Chłopak został natychmiast odprawiony. Wyszedł spieszenie jeszcze bardziej wystraszone, potykając się o meble i kłaniając się do ziemi przed człowiekiem, dla którego nawet pryncypał tak z tonu spuścił i otaczał względami.

Jak tylko się za nim drzwi zamknęły, agent wyjął z kieszeni kawałek spalonego płótna.

— To od pana pochodzi, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Dobrze. Zna pan nazwiska wszystkich pańskich klientów?

— Spodziewam się.

— Musi pan jednak mieć takich przygodnych, przyjezdnych, którzy nie stale ubierają się u pana?

— To się zdarza bardzo rzadko, ale i wtedy nazwiska ich są mi znajome. Muszę ich przecież w książki wpisać.

— Ma pan słusznosc. A więc musi pan znać niejakiego Piotra Patrel?

— Jak pan mówi? Patrel?

— Tak.

— Wcale nie.

— Spodziewałem się tego.

— Zapewniam pana jednak...

— To nie chodzi o pana. Ja mam swoją myśl pewną.

— Ach! tak!

— Czy nie dostarcza pan ubrań Anglikom, mieszkającym w Londynie?

— Londynu? Ah! bardzo mało! Mam tylko z tamtąd dwóch klientów, którzy zjawiają się u mnie ilekroć są w Paryżu, co zdarza się bardzo rzadko.

— Pomiedzy nimi jest człowiek około pięćdziesięciu lat, mały?

— Przeciwnie starszy z moich klientów doszedł zaledwie do pełnoletności.

— Tak. No to ubieraj się pan i chodź ze mną. Zabieram pana.

— Ale dokąd?

— Zależy panu na tem, żebyś wiedział?

— Zapewne, jeżeli można.

— Do Morgue.

— Do? do? Morgue?!

— Ależ nie drzyj pan tak do dyabła! Nie mamy wcale zamiaru dłużej tam pana zatrzymywać.

— Oh, mój Boże! I po co to?

— Małeńka formalność, nic więcej. No, jesteście pan gotowi!

Fantillon wyszedł do przedpokoju. Z trudnością, drżąc cały, włożył na siebie płaszcz futrzany, lecz był tak poruszony, że pomimo, iż używał w dzielnicy sławy arbitra elegancji, włożył przez pomyłkę na głowę kapelusz dwa razy za duży, który wpadł mu po same uszy i nadawał mu dziwnie komiczny wyraz.

Małeńki ten wypadek nie wzruszył bynajmniej poważnego Jaminota, który bez najmniejszej grzeczności i uwagi, popchnął grubego człowieka na schody. W jednej chwili byli na dole.

Przejeżdżała próżna dorożka. Agent gwizdnął i wsiadł ze swoim towarzyszem. Za dziesięć minut przybyli do celu. W salach Morgue było pusto.

Publicznosc nie wiedziała jeszcze o dramacie, który rozegrał się na ulicy Clichy. Przed pół godziną zaledwie przywieziono trupy. Jaminot widocznie się pospieszył!

Krawiec zaraz na progu zdjął swoje śmieszne nakrycie głowy i trzymał je z powagą przed sobą, nie przez nadzwyczajne poszanowanie miejsca, w którym się znajdował, lecz pan Fantillon był to kokiet nie lada, wolał narazić się na ostry katar w zimnej i nieopalonej sali, niż przedstawić się niekorzystnie i stracić przez to cokolwiek choćby z okrzykanej dystynkcji i elegancji. Pomimo zimna wielkie krople potu wywołane wzruszeniem, zrosiły jego czerwone, wypukłe czoło.

Był prawie łysy, tylko po bokach szerokiej głowy sterczały dwie kępki rudawych włosów misternie żelazkiem ufryzowanych.

Pan Fantillon nie zdawał sobie sprawy, po co go tu sprowadzono. Nie mógł się nic dowiedzieć od agenta w drodze do Morgue, gdyż tenże nawet ust nie raczył otworzyć. Fantillon wolał już nie nalegać, w obawie usłyszenia czegoś bardzo niemiłego.

Jaminot wziął krawca za rękę i stanął z nim naprzeciw lustrzanych szyb, poza którymi ustawiono zwłoki zamordowanych. Lecz zaledwie Fantillon spojrział, gdy nagle zbłądł okropnie, zaczął kłapać febrycznie zębami i zawołał przerywanym przez wzruszenie głosem:

— Ależ! Ależ to pan Bélac.

— Pański klient? — zapytał Jaminot.

— Tak jest! I to od lat dwunastu.

— I nazywa się?

— Andrzej Bélac... z pewnością!

— Ale jakim sposobem znajduje się tutaj? — zawołał wystraszony.

Jaminot niewzruszony odpowiedział z przedziwnym spokojem:

— Zaręczam panu, że sam tu nie przyszedł! Usłudzi ludziska i w których to fachu leży, sprowadzili go tutaj. Przysięgam nawet i założył się o wielką sumę, że nieborak nie oczekiwał tego spaceru.

Pomimo silnego wzruszenia krawiec odczuł, że agent kpił. Chciał stosownie odpowiedzieć, lecz wstrzymał się, czyniąc sobie w duchu uwagę, że bezpieczniej będzie zamilczeć. Przybrał więc znowu pokorny wyraz twarzy.

Agent indagował dalej.

— A pamięta pan, gdzie mieszkał?

— Spodziewam się. Chodziłem do niego osobiście po raty mi należne.

— Gdzie to było?

— Ulica Siant-Martin 502, od strony bulwaru na drugim piętrze na prawo.

— Dobrze. Jaki był jego fach?

— Prowadził sprawy finansowe.

— On wyjeżdżał? nieprawdaż? i na czas dłuższy?

— On? Nic nie wiem o tem!... Nie mogę stanowczo twierdzić, wiem tylko, że go wiecznie spotykałem podczas codziennego mojego spaceru o godzinie szóstej, pomiędzy pasażem Opery a ul. Chaussee-d'Antin.

— A więc co znaczy ten Londyn?

— Co proszę?

— To nic... Ah, prawda! a ta kobieta?

— Nie widziałem jej nigdy w życiu.

— Jesteś pan tego pewny?

— Najpewniejszy. Nie widziałem jej nigdy. Zresztą ona jest dość ładna, żeby jej nie zapamiętać.

— To słuszne.

— Proszę pana...

— Co takiego?

— Widzi pan, ja jestem bardzo wrażliwy... Jakoś mi niedobrze... Chciałbym odejść.

— Dobrze... przejdziemy przedtem do kancelaryi.

— Co?

— No tak... pan uczyni zeznanie... To nie potrwa długo, zaręczam panu. Niechże się pan uspokoi. Ponieważ tożsamość Belaca jest stwierdzona, nie będziemy go dłużej tu trzymać. Trzeba przygotować miejsce dla innych amatorów.

— Amatorów...

— Tak! do usług pana. A więc stanowczo... o kobiecie pan nam nie może nie powiedzieć?

— Tak jest, kompletnie nic.

— Szkoda... No, zresztą zobaczymy jeszcze. Idzie pan?

— Z przyjemnością.

W chwili, gdy wchodzili do kancelaryi, agent dostrzegł „Brzaskwinie“ pomiędzy ciekawymi, którzy już zdołali u wejścia się zgromadzić. „Brzaskwinia“ uśmiechnął się.

— Oh! — pomyślał agent. — Prokurator nie zasypia gruszek w popiele. Jak widzę, jego tajna policja robi swoje.

Po dokonanych formalnościach Jaminot wsiadł z Fantillonem do dorożki, która oczekiwała na

nich i kazał woźnicy jechać w stronę ulicy Saint-Martin.

Dopiero w dorożce krawiec zdecydował się włożyć kapelusz. Westchnął przytem desperacko. Powóz toczył się szybko po ulicach.

— Czy pan mnie jeszcze potrzebuje? — spytał nieśmiało przemysłowiec, patrząc z pod oka na poważnego agenta?

— Jak na teraz, to nie... Ale później z pewnością pana zawezwę. Będiesz pan tak grzeczny i nie wyjedziesz pan z Paryża w tym czasie; zrozumiałeś mnie pan?

— Tak, tak... rozumiem!

— A jesteś pan zupełnie pewny, żeś tak często spotykał na spacerze owego Bélaca?

— No naturalnie nie codziennie, ale najmużej raz na tydzień. Oh, tak! tego jestem pewny! Najmużej raz na tydzień. Pan to pojmuje? Nie potrzebowałem przecież tego zapisywać.

— I nie przypomina pan sobie jakiej dłuższej przerwy, którą mogła wywołać choroba lub nieobecność pańskiego klienta? Przerwa dość długa...

— Z pewnością nie.

— Pan twierdzisz stanowczo!

— Bo mówię prawdę. Będiesz pan mógł się o tem przekonać.

— Liczę na to. Co do pana zaś, to muszę go uspokoić, że nie myślę poruszać spraw z przeszłości. O ile zgaduję, klient pana, Bélac należał do tej bandy przemysłowców, obracających fikcyjnymi kapitałami, którzy z dnia na dzień oczekują zjawienia się jakiegoś nie istniejącego kapitalisty, aby ten usunął ich pierwsze kłopoty... szukając naiwnych młodzieniaszków do eksploataowania i zwabiania ich w swe operacje finansowe. Odpowiedz pan szczerze, czy nie tak było?

— Bardzo to możliwe.

— Prowadziliście razem interesa?

— Nie.

— Może choćby dlatego, żeby poznać sposób jego postępowania w takich razach?

— Powtarzam panu, że nie.

— Z braku sposobności, czy też z ostrożności?

— Nie było nigdy między nami o tem mowy.

— Przypuśćmy. Ubierał się dobrze?

— Tak. To jest używał zawsze materii w jak najlepszym gatunku, lecz nie zbyt kłopotliwych... Zawsze obstałowywał garnitury marynarkowe, a nigdy nie używał fraków, angielskich ubrań lub żakietów...

— Widocznie mało bywał w świecie...

— Tak sądzę.

Dorożka zatrzymała się przed wskazaną kamienicą; agent chciał zapłacić.

— O, nie! Za nic w świecie na to nie pozwolę! — zawołał Fantillon. — Tembardziej, że dorożkarza zatrzymuję jeszcze.

— Jak się panu podoba. A więc do widzenia... dziękuję za informacje.

— O, niema za co! Czuje się bardzo szczęśliwym, że mogłem panu choć w takiej drobnostce usłużyć.

— Ale prawda, jeszcze mam panu coś powiedzieć... Spodziewaj się pan lada dzień wezwania sędziego śledczego.

— Co? ja będę wezwany? — zawołał przerażony krawiec.

— No tak, pan a nie ja naturalnie! Do pioruna! ależ pan tchórzem podszyty! Nie obawiaj się pan! Poprosimy tylko o potwierdzenie rozpoznania... tego umrzyka.

— Kogo? za pozwoleniem.

— No, Bélaca! jeżeli pan nie rozumie. Zapominam zawsze, że mam do czynienia z tak delikatnym i dobrze wychowanym człowiekiem... Spodziewam się, że stawi się pan punktualnie na wezwanie. A drogę pan zna, nieprawdaż? Nie potrzebuje panu przypominać. A teraz mam zaszczyt pożegnać pana!

Jaminot wszedł do mieszkania dozorczyń domu. Na widok agenta pocziwa kobiecina ze strachu wypuściła miotłę, którą trzymała w ręce. Podniosła ręce do góry, westchnęła ciężko i czempredzej podała agentowi krzesło.

— Czy pan Andrzej Bélac tu mieszka? — zapytał tenże, nie zwracając uwagi na pomieszczenie starej.

— Tak, proszę pana. Czyżby ten zacny człowiek miał jakie nieprzyjemności?

— Po co to pytanie?

— O, tak sobie. Dla rozmowy...

— Ale przecie?

— Przypuśćmy, że nic nie powiedziałam.

— Proszę odpowiadać.